

ADA
i TAJEMNICA
GALLA ANONIMA

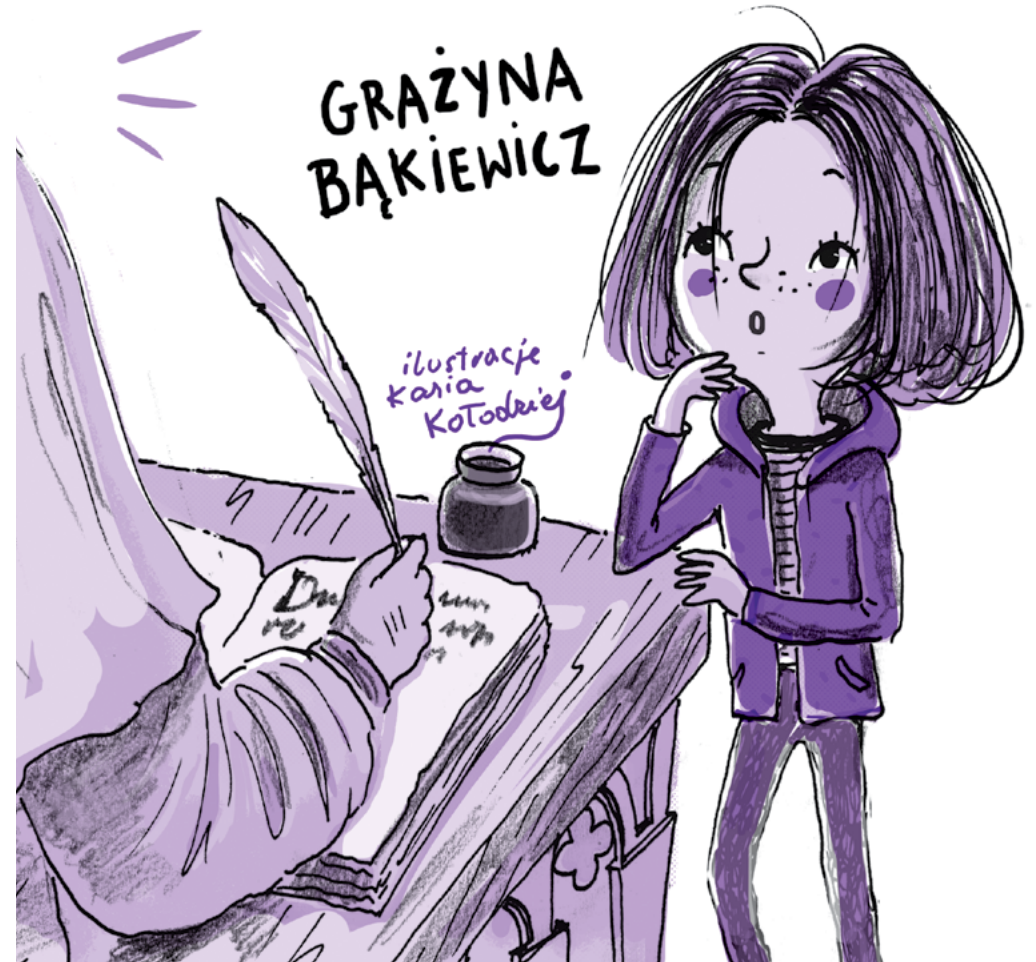


ADA i TAJEMNICA GALLA ANONIMA

KRYMINATEK
HISTORYCZNO-
FANTASTYCZNY

GRAŻYNA
BAKIEWICZ

ilustracje
Kasia
Kotodziej



Grażyna Bąkiewicz
Ada i tajemnica Galla Anonima
Kryminalek historyczno-fantastyczny

© by Grażyna Bąkiewicz
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Kasia Kołodziej

Korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-890-2

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2020
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl



Wdomu od samego rana rejwach, dym i zawierucha.
– Gdzie podziały się moje papiery? – woła mama.

Miota się między swoim biurkiem, stołem w kuchni, torbą na zakupy, kubłem na śmieci a szafką z butami. Chodzi o ważną rzecz – program dzisiejszej imprezy na zamku. Mama jest jej organizatorem i przez miesiąc pracowała nad drobiazgowym scenariuszem, a my dzielnie jej w tym pomagaliśmy.

Celem zabawy ma być odnalezienie skarbu, który tysiące lat temu ukryli mieszkańcy tych ziem. Oczywiście wszyscy wiedzą, gdzie szukać. We wnętrzu wzgórza! Tyle że nie wiadomo, jak się tam dostać. Radek, ja i Staś wymyślaliśmy wskazówki w stylu: „Droga, którą omijają wszyscy inni, okazać się może ścieżką prawdy” albo „Zaledwie sto kroków dzieli cię od tajemnicy” – takie wygłupy dla ubarwienia zabawy.

Zresztą, z podpowiedziami czy bez, prawdziwego skarbu i tak nikt nie znajdzie, już moja w tym głowa.

I jeszcze jedno – jestem Ada. Mam dwanaście lat i jestem strażniczką skarbu.

– Ada, rozejrzyj się za scenariuszem, bo jeszcze chwila, a zwariuję!

Miałam ochotę odburknąć, że strażniczką wprawdzie jestem, ale nie jakichś tam szpargałów. Zacisnęłam jednak zęby i poszłam szukać. Mama przecież nic nie wie o mojej misji i lepiej, żeby tak zostało. Gdyby wiedziała, zamartwiałaby się dzień i noc, i miałyby rację, bo nie jest to bezpieczne zajęcie. A jeśli chodzi o scenariusz, to nie musiałam za bardzo się wysilać. Jak tylko usłyszałam, że zniknął, w tyle głowy pojawiło się podejrzenie – oho, chyba wiem, co się z nim stało! Wczoraj nauczyłam Stasia robić samolociki z papieru i tak przypadło mu to do gustu, że bawił się nimi cały wieczór. Ja w spokoju zajmowałam się swoimi sprawami i nawet mi do głowy nie przyszło sprawdzić, z czego je robi. Aż do teraz.

Rzut oka przez okno potwierdził moje obawy.

Ogród zaścieniony był dziesiątkami samolocików. Nie zamierzałam martwić mamy, póki ich nie sprawdzę. Po cichu wylazłam przez okno i podniosłam pierwszy z brzegu. Rozwinęłam i... bingo!

– Rety, Stasiu, coś ty narobił! – jęknęłam.



Przez kolejne minuty prostowałam i wygładzałam kartki, ale już ze świadomością, że to na nic. Noc w ogrodzie i poranna rosa rozmyły druk. Mimo to zebrałam wszystkie, głównie po to, by odwlec chwilę, gdy będę musiała oddać je mamie. Jeszcze jeden arkusz dostrzegłam pod krzakiem bzu. Podeszłam, sięgnęłam, ale zamiast papieru poczułam zęby.

Łaa, coś mnie użarło!

I to nie mrówka, a coś większego.

Może mysz? Nie, jeszcze większego. Wilk, tygrys? W popłochu wyciągnęłam palec i obejrzałam ze wszystkich stron. Był cały, bez śladów ugryzienia. Dziwne, bo przecież wyraźnie czułam zaciśnięte na nim zęby.

Z ciekawości rozgarnęłam gałęzie i zobaczyłam maskarona. Szczerzył na mnie kły.

– To ty mnie dziabnąłeś? – spytałam.

Głupie pytanie, bo maskaron to przecież twarz wyrzeźbiona w kamieniu. Jest ich w naszym mieście zatrzęsienie. Spoglądają z murów miejskich i ścian kamienic. Spotyka się je na każdym kroku, czasami w zaskakujących miejscach. Tego dotąd nie widziałam. Czyżby jakiś nowy? Bywa i tak, że pojawiają się ni stąd, ni zowąd, a potem znikają. Nikt się temu nie dziwi, głównie dlatego, że mało kto w ogóle zwraca na nie uwagę.

Ja tak, i mam ku temu ważny powód.





Schyliłam się, by sprawdzić, czy da się go przyciągnąć bliżej, ale tkwił mocno w ziemi. Jednocześnie poczułam, jak wyrzeźbiona twarz cofa się w głąb kamienia. Złudzenie? Gdyby nie to, że jestem, kim jestem, pewnie tak bym pomyślała, albo, co bardziej prawdopodobne, zostawiłabym go w spokoju i zwiła z wrzaskiem. Ale jako strażniczka skarbu wiedziałam, że maskaron jest w pewien sposób żywy i robi to, co chce – ucieka albo zostaje.

Ten tutaj został i świdrował mnie zaciekawionym wzrokiem.

Kucnęłam, by mu się lepiej przyjrzeć, i od razu się zorientowałam, że to posłaniec. Zdradzał to znak między brwiami. Wiadomość, którą przyniósł, była z pewnością

zła, bo tylko z takimi przychodzą. Potwierdzały to ciary wędrujące mi po kręgosłupie i kostka u lewej nogi, która natychmiast zaczęła swędzić.

– Powinieneś iść do Mateusza, bo to on jest głównym strażnikiem – szepnęłam w nadziei, że zrozumie swoją pomyłkę i sobie pójdzie.

Nie zareagował.

Z jakiegoś powodu zjawił się u mnie i to ja musiałam „odebrać pocztę”. Nie pierwszy raz się to zdarzyło i dlatego wiedziałam, co robić. Wystarczyło dotknąć znaku. W sumie nic skomplikowanego, jednak wahałam się przez dłuższą chwilę, bo zdawałam sobie sprawę, że czeka mnie dziwne przeżycie.

– Nic mi się nie stanie – przekonywałam samą siebie. – No dalej!

W końcu odważyłam się i dotknęłam. W tej samej sekundzie zobaczyłam kogoś w długiej sukni. Kobieta? Mnich? Raczej dzieciak. Pojawił się tuż obok mnie, dosłownie na wyciągnięcie ręki. W ręku trzymał gęsie pióro. Chyba pisał, bo stał przy wysokim pulpicie, na którym leżał arkusz pergaminu. Z piórem było coś nie tak, bo jego końcówkę wetknął do ust i przygryzł zębami. W tym momencie zorientowałam się, że to chłopak, taki mniej więcej w moim wieku. Nad górną wargą miał meszek, taki, jaki pojawił się ostatnio u chłopaków w naszej klasie. Obejrzał spłaszczoną

końcówkę pióra, zanurzył ją w kałamarzu, strząsnął nadmiar atramentu i zaczął pisać to, co ktoś mu dyktował.

Obraz lekko drżał.

Duch?

Nie. To projekcja z przeszłości. Potrwa chwilę i zaraz zniknie, ale wszystko, co zobaczę, jest ważnym przekazem dla strażnika skarbu. Nie traciłam więc czasu na dziwienie się, tylko skoncentrowałam umysł, by zapamiętać jak najwięcej szczegółów. One pozwolą mi zorientować się, gdzie trzeba szukać zagrożenia. Od tego, czy będę umiała trafić w tamten czas, może wiele zależeć.

*Botezlaus dux inclitus
Dei dono progenitus*

Słyszałam głos, ale nie widziałam mówiącego. I zupełnie nie rozumiałam, co mówi. To nie było po naszemu. Nie miałam pojęcia, co to za język.

*Hic per preces Egidij
Sumpsit causam exordii*

Rymowało się jak wiersz.

Próbowałam zerknąć w bok, by zobaczyć dyktującego, ale nie miałam szans. Kątem oka



zahaczyłam jednak o okno, właściwie nie tyle okno, co wąską szparę w murze. Wpadał przez nią promień słońca. Zmrużyłam oczy i w ułamku sekundy dostrzegłam to, co miałam zobaczyć: posąg Ody leżący na dnie wykopu. Obok stała grupa ludzi. Chyba dopiero co natknęli się na dziwny, czarny kamień i debatowali, co z nim zrobić: zasypać czy wydobyć. Wiadomość od posłańca dotyczyła właśnie tej sceny i brzmiała: „Oda znów gotowa jest do działania. Potrzebna interwencja strażników”.

Chłopiec stojący przy pulpicie też widział, co dzieje się za oknem. Przeszłował z nogi na nogę, jakby chciało mu się siku. Ten, kto dyktował, zawiesił głos. Padło jakieś pytanie, którego nie zrozumiałam, ale chłopak kiwnął głową. Chyba dostał pozwolenie, by wyjść, bo odłożył pióro i uśmiechnął się w podziękowaniu.

Wtedy zobaczyłam jego zęby. Były niebieskie. Normalnie niebieskie! Aż mnie cofnęło.

Widziadło znikło.

Byłam znowu w swoim ogrodzie. To znaczy nie ruszyłam się stąd na krok, tylko przez moment patrzyłam oczami posłańca na czas, którego już nie ma, a który my nazywamy historią. W naszym rozumieniu minął, ale nie do końca. Przeszłość to coś w rodzaju równoległego świata, który istnieje tuż obok i ciągle ma wpływ na to, co dzieje się teraz. To stamtąd dostałam wiadomość.



Dziwaczne, prawda? Ale spoko, już się przyzwyczaiłam, chociaż ciarki mam za każdym razem, gdy tam zaglądam.

Powinam powiadomić Mateusza. Najprościej byłoby zadzwonić, ale to jedyny znany mi człowiek, który nie ma komórki. I to jest dopiero dziwaczne. Swoją drogą ciekawe, jak się ludzie kiedyś porozumiewali? Biegali do siebie z każdą drobnostką, czy co?

– Ada! – usłyszałam wołanie mamy. – Co tam robisz?

W jednej chwili wróciłam do rzeczywistości.

W rękę trzymałam plik zmaltretowanych kartek. Pierwsza z wierzchu to lista uczestników dzisiejszej zabawy. Mimowolnie spojrzałam na nią i gdzieś pośrodku dostrzegłam nazwisko Nilson. Znałam je. Tak nazywa się Anton, chłopak, w którym się kiedyś zabijałam. Było, minęło, ale serce zabiło mi mocniej i musiałam wziąć głęboki oddech, by je uspokoić. Aż dziwne, że widziadło z przeszłości nie zrobiło na mnie takiego wrażenia jak szansa, że ponownie zobaczę Antona. Dopiero to mnie na dobre otrzeźwiło. Odetchnęłam głęboko i wróciłam do domu.

– Znalazłam scenariusz! – mruknęłam i położyłam na kuchennym stole to, co z niego zostało.

Mama patrzyła z niedowierzaniem na pomięte kartki.



– To nie ja – uniosłam ręce w obronnym geście, choć podejrzewałam, że i tak będzie to moja wina.

– Mogłaś mu odebrać – jęknęła.

No właśnie.

W sumie czułam się trochę winna, ale i tak zrobiłam obrażoną minę. Ciekawe, czy prawdziwemu winowajcy też się oberwie.

Jak na zawołanie w drzwiach pojawił się Staś. Miał na sobie spodenki założone tył na przód, w dodatku na lewą stronę.

– Sam się ubrałem! – oznajmił z dumą.

I na tej rewelacji skupiła się mama.

– A gdzie masz kieszenie? – spytała, tłumiąc śmiech.

Staś mrugnął do mnie i już wiedziałam, że to nie gapiostwo, tylko sposób odwrócenia uwagi. To dopiero spryciarz! Powinam uczyć się strategii od pięciolatka.

– Siadajcie i jedzcie śniadanie, bo zaraz musimy wychodzić! – rozkazała mama i poszła włączyć drukarkę.

Zniszczony scenariusz należał już do przeszłości. Wylądował w kubie z makulaturą, nowy się drukował, a my, siedząc przy wielkim, kuchennym stole, zajadaliśmy śniadanie.

– Słuchajcie, jaką wskazówkę wymyśliłem! – zawołał Radek. – To, co wydaje się śmieciem, może być najcenniejszym drogowskazem.



– Prawdziwie złota myśl – zaśmiała się mama.
– Wyobrażam sobie minę poszukiwacza, który dostanie taką radę – dołączyłam się. – Szczególnie gdy trafi na psią kupę!
– Ale napisy na papierku od cukierka mogą okazać się niezłą inspiracją! – droczył się Radek.
– No dobrze – machnęła ręką mama. – Dopisz, niech się drukuje. Na takich radach zyska miasto, bo przy okazji zostanie dokładnie wysprzątane.
Siedziałabym tak bez końca i śmiała się z nimi, gdyby nie popędział mnie zegar.
– Muszę już iść – westchnęłam, wstając od stołu. – Czeka na mnie sporo obowiązków.
Mama i Radek pomyśleli pewnie o szkole, a ja nie zamierzałam wyprowadzać ich z błędu. Tak naprawdę



chodziło o przeprawę z Odą, ale o tym nie mogłam mówić z nikim poza Mateuszem. To sprawa ściśle tajna.
– Miłego dnia – powiedział Radek, a mama przypomniała:
– Odbierz Stasia z przedszkola, bo my będziemy zajęci do późna.
Zabawa, którą przygotowała, to noc w muzeum. Poszukiwanie skarbu miało zacząć się po południu i trwać do późnego wieczora. Zaplanowane też było nocne zwiedzanie zamku i ognisko na dziedzińcu. Jutro sobota i można pobuszować dłużej, więc impreza skończy się zapewne grubo po północy.
– Mam nadzieję, że nie zapomnę – mruknęłam, puszczając jednocześnie oko do małego, żeby wiedział, że to żarcik.

Lubię go, więc oczywiście nie zapomnę go odebrać, choć przyznam, że kiedyś mi się to zdarzyło. Od tamtej pory pilnuję się, żeby nie było powtórki.

Tak naprawdę Staś nie jest moim bratem. To syn Radka. Mama i Radek są parą z własnymi dziećmi. Mama Stasia zginęła w wypadku, więc dzielę się z nim moją. On z kolei użycza mi swojego taty, czyli Radka. O takiej rodzinie, jak nasza, mówi się patchworkowa, czyli posklejana z kawałków. Prawdziwego tatę też mam, ale on odzywa się do mnie tylko wtedy, kiedy ma interes.